



Ledwie wsiadłam do taksówki, a już starszy, sympatyczny kierowca wciąga mnie w wir rozmowy.

– Wie pani, to moja ulubiona trasa. Tu się wychowałem, na Konarskiego do szkoły chodziłem. Ja teraz taksówką jeżdżę, ale AGH skończyłem, wiertnictwo. Dawno temu. Lata całe pracowałem w zawodzie.

Słucham w milczeniu, nie przerywam. Chwilowo nie wyjaśniam swoich związków z AGH.

– Jako dzieci bawiliśmy się w schronie na placu Inwalidów, można było do niego swobodnie wchodzić! W ogóle aut tyłu nie było, biegaliśmy wszędzie po Alejach. Teraz podobno te schrony zrobiły się modne, urządza się ich zwiedzanie na jakichś dniach dziedzictwa... A Kawiorzy... Wie pani w ogóle, gdzie to jest?

– Nawet bardzo dobrze – przyznaję po chwili – bo tam pracuję.

– O! – rzuca taksówkarz z cieniem zdziwienia w głosie. – Nooo, za tymi Kawiorami to wtedy nie było nic! Da pani wiarę?! Nic! Tam, gdzie obecnie biegnie Piastowska, to tylko puste pola się ciągnęły, hulał wiatr. Cyganie rozbijali obozowiska, myśmy z chłopakami biegali ich podpatrywać. Wozy, kolorowe suknie, muzyka... Ech, śladu po tym świecie nie zostało... A nieopodal stały ruiny schronów z drugiej wojny, w okolicach ulicy Buszka, znaleźliśmy tam nawet granat... taki w kształcie pałki – ręczny granat trzonkowy, Niemcy ich używali. A my, głupi, zabraliśmy ten granat do szkoły – panika, ewakuowali nas, strach był.

– Dobrze, że nikomu nic się nie stało – wtrącam.

– Tak... – przytakuje kierowca – tyle tu historii, wspomnień...

podjął decyzję o remoncie i unowocześnieniu gmachu. Plany te zagrażały dalszemu istnieniu ogromnej mozaiki Celine Styrylskiej-Taranczewskiej na południowej ścianie wieżowca. Dzięki burzliwej debacie publicznej dzieło ocalało i nie tylko zostało wpisane do gminnego rejestru zabytków, ale do tego starannie je odnowiono.

Czy pędząc do pracy, ktoś z nas przygląda się jednak mozaice? Można ją odbierać jako coś zwyczajnego, ot, zbiór ceramicznych prostokątów i kwadratów. Nie wszyscy wszak pasjonują się abstrakcjonizmem i sztuką niefiguratywną. Postanowiłam zatrzymać się na chwilę i sfotografować jej fragmenty – wykadrowane stają się punktem wyjścia do medytacji, przemieniają się w oddzielne obrazy. Mogą zachwyć, choć zachwyt ten nie będzie udziałem wszystkich. Mozaika nawiązuje prawdopodobnie do rysunków technicznych na papierze milimetrowym, jakie powstawały w biurach Biprostalu. Wyobraźmy sobie, że ściana wieżowca to rozrysowana mapa osobnego świata, futurystyczna projekcja, zwielokrotniony sen. Wybierzmy dla siebie jego małą częśćkę, przywłaszczmy sobie wizyjność. Skoro można zauważyć więcej, czemu tego nie uczynić, nawet na krótkim spacerze?... W większych kwadratach kryją się rozproszone kwadraciki, a przecież, jak pisał w wierszu *Lusterko samochodu* Adam Zagajewski, „rzeczy wielkie mieszkają w małych / przez chwilę”². Nawet pod sławnym obrazem awangardowego twórcy Kazimierza Malewicza „Czarny kwadrat na białym tle” (1915 r.), tak minimalistycznym, jak tylko się da, odkryto parę lat temu dwie inne, znacznie bardziej złożone kompozycje malarzkie. Wszystkie rzeczy i zjawiska składają się zatem z niezliczonych warstw, spękań farby, form schowanych pod innymi formami...

Snując refleksje nad kształtem mozaiki, nie myślimy jednak o tym, jak przebiegał sam proces twórczy, a czasem bywa on równie ciekawy co końcowy efekt pracy. Jak opowiada Paweł Taranczewski w szkicu *Wspomnienie i myśli o mozaice na Biprostalu*, artystka doskonalila swój projekt w pracowni jego ojca, znanego malarza Wacława Taranczewskiego, „na drugim piętrze budynku ASP przy placu Matejki 13”. Tworzenie bynajmniej nie przebiegało w ciszy i spokoju:

Ojciec wtrącał się do projektowania, korygował rozwiązania, chciał wpłynąć na Celinę. Nie była mu uległa. Dążąc do doskonałości, przedstawiała kwadraty już określone w kolorze lub kolor ten

zmieniała. Gdy komponowała, używała kalki kreślarskiej, gwałtownie pozbywając się zużytych kawałków. Ojciec irytował się głośno hałaśliwym darcim i mięciem sztywnej kalki i niedyscyplinowaniem Celiny, spierał się z nią o barwy płytek mozaiki. Uważał, że wszystkie powinny być kolorowe, choć kolor ich nie musi być w pełni nasycony i czysty. Mogą być szare, ale musi to być szarość barwna. [...] Pamiętam [...], że Ojciec był bardzo wzburzony, iż Celina uparcie mu się sprzeciwiała i chyba stawiała na swoim³.

Po lekturze tego wspomnienia, kiedy patrzę na mozaikę, pozor- nie statyczną, subtelną, pastelową, współgrającą z kolorytem nieba, rozmyślam o tych artystycznych sporach. W wyważonej mocnej kompozycji nie ma śladu rozterek i sprzeczek. Cieszę się więc, że poznałam kulisy jej powstania, ponieważ wzbogaciły one moją perspektywę i ogląd najbliższej okolicy miejsca pracy (zazwyczaj wysiadam rano na przystanku „Biprostal”). I porusza mnie jeszcze taki okrucuch pamięci cytowanego już Pawła Taranczewskiego, dotyczący pracowni jego ojca Wacława, która w końcu przestała istnieć:

W tej pracowni – odziedziczonej po Ojcu – znalazłem kilkanaście płytek, resztek po mozaice, walały się wśród śmieci. Używałem ich jako podkładki pod gorące naczynia, przypominając o „gorących” czasach projektowania⁴.

Martwa natura ożywa, delikatne dotąd barwy nagle parzą. Mozaika pulsuje od emocji. Jej fragmenty służą za podkładki, za podłoże – naszych wysiłków, działań, marzeń?...

Biprostal to jednak nie tylko powstałe w 1949 roku przedsiębiorstwo państwowe i będący jego siedzibą budynek: zapisał się on także w historii literatury polskiej jako inspiracja do powstania efemerycznej formacji zwanej Grupą Biprostal. Związek między członkami grupy opierał się zasadniczo na więzach przyjaźni i życiu towarzyskim, a należeli do niej pisarze i poeci mieszkający w tej dzielnicy Krakowa. Zachowało się kapitalne zdjęcie, na którym na tle Biprostalu stoją Ewa Lipska, Wisława Szymborska (w mało oficjalnej pozycji), Kornel Filipowicz, Barbara Czałczyńska oraz Adam Włodek (gościnnie, bo mieszkał w innej dzielnicy). Do grupy należała także Joanna Salamon, której zabrakło na fotografii. Autorka eseju *Grupa Biprostal*, profesor Marta Wyka, określa ją mianem „fantazmatu”, bo



Czasem myślę o nim z pewną czułością – bo kto wie, czy to nie on był tu ofiarą, a nie mieszkańcy miasta? Może było tak jak z nieszczęsnym Minotaurem uwięzionym w labiryncie na Krete w prozie poetyckiej *Historia Minotaura* Zbigniewa Herberta (ze słynnego tomu *Pan Cogito*), idącej pod prąd obowiązującego mitu? Może wszystko potoczyło się inaczej, niż to odnotowano w oficjalnej wersji? Może Minotaur był po prostu niewydarzonym, opóźnionym umysłowo księciem, którego król Minos kazał pedagogom edukować w labiryncie, a gdy plan ten się nie udał, nasłał na niego mordercę – Tezeusza.

Czy i z nim tak było? Komuś przeszkadzał, za dużo wiedział, schowano go przed całym światem do jaskini, a potem wynajęto zabójcę, który posłużył się owczymi skórami?...

Poza legendami, które rzucają na niego same kalumnie, niewiele się zachowało. Ani Krak, ani Szewczyk Dratewka (zwany także Skubą) nie prowadzili pamiętników, a kronikarze zapisali jedynie pogłoski; mistrz Wincenty Kadłubek określił go mianem *holophagusa*, czyli „całożercy”, zaś Jan Długosz w swych *Dziejach Polski* pisał o Wawelu:

Widzieć można do dziś dnia na tej górze wiele jaskiń, w których miał przebywać osławiony w pisemnych i ustnych podaniach smok, czyli z zwierzę przedziwnej wielkości [*podkreślenie E.E. Nowakowska*], który dużo szkód mieszkańcom tutejszym miał zadawać¹.

Ciekawe, jak naprawdę wyglądał smok wawelski?

przywiązania do „melancholijnego” chińskiego smoka anorektyka przy ulicy Urzędniczej 37, na domu z 1934 roku projektu Zygmunta Prokiesz i Izidora Goldbergera. Bo jak tu nie polubić wygiętego w historyczny łuk chudzielca z zabawnym, podwójnie zapętlonym ogonem ryby? Co prawda robi on, co może, żeby nas przerazić, ale raczej nikt by go nie obsadził w charakterze straszdyła. Tkwi na fasadzie jak kunsztowny egzotyczny ornament i zapewne trochę mu przykro, że mknący naprzód przechodnie zwracają na niego niewiele uwagi, tym bardziej że kiedyś cieszył się wielką estymą. Smok, obok jednorożca, feniksa i żółwia, należał bowiem w starożytnych Chinach do czterech magicznych zwierząt i był symbolem pierwiastka yang. Jak pisze Jorge Louis Borges w swym pasjonującym leksykonie mitycznych istot stworzonych przez ludzkość, zatytułowanym *Księga istot zmyślonych*: „Smok chiński ma rogi, pazury, łuski, a jego grzbiet jest najeżony kolcami. Zazwyczaj przedstawia się go z perłą, którą łyka lub którą wypłuuwa. W tej perle skupia się jego potęga. Bez niej byłby bezsilny”⁷. Wychudły smok z ulicy Urzędniczej zachował jedynie długie kolce, zgubił jednak perłę – atrybut swej mocy; może dlatego wydaje się tak bezbronny.

Co innego siejący grozę smok przy ulicy Kazimierza Wielkiego 59 (na kamienicy z 1937 roku projektu Henryka Jakubowicza), całkiem niedaleko Biprostatu. Potwór ewidentnie ma bliskich krewnych wśród krokodyli, widać to po kroju łusek i sylwetce, do tego wysuwa roztrojony jęzor, ukazując wielkie zęby. Napięcie i, co tu dużo mówić, lekki popłoch znikają, gdy spojrzymy na sąsiedztwo kamienicy z płaskorzeźbą smoka – znajduje się ona tuż obok budynku ze sklepem zoologicznym o dźwięcznej nazwie „ŻY-RAFA” i z szyldem reklamującym dystrybutora karmy. Nie jest jasne, czy przewidziano też karmę dla smoków (ta standardowa, przeznaczona dla pospolitszych gadów, może okazać się zbyt mdła i nijaka...).

Prawdopodobnie do dalszej rodziny powyższego smoka zalicza się kolejny przedstawiciel ich rodu, umieszczony na nadprożu kamienicy z 1931 roku przy ulicy Lea 36A. Wzrok przyciąga fantazyjny ogon z pętelką, zakończony jakby grotem strzały. Smok z ulicy Lea należy do istot gburowatych, mało lotnych i zdecydowanie ociężałych; przypuszczalnie mógłby przypuścić jakiś niemrawy atak, ale wyszedł z formy i dyszy ciężko, wspierając się na przednich łapach. Przydałoby mu się powalczyć z nadwagą,



FOT. 1.
Smok chudzielec
z ulicy Urzędniczej 37



FOT. 2.
Smok postrach
z ulicy Kazimierza
Wielkiego 59



FOT. 3.
Smok niezłada
z ulicy Lea 36a

zachwycając się krajobrazami i zabytkami. W powyższym tekście z roku 1798 zwraca naszą uwagę słowo „ponik” – jak podaje klasyczny już dziś *Słownik języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego²:

ponik *m III 1. przestarz.* «potoczek, strumyk wytryskujący spod ziemi lub zanikający pod ziemią (a nie wpadający do większego)»: Szmer ponika wyrywa się z łożyska. ŻER. *Puszcza 10.* Sięde i z ponika pragnienie ugaszę, odkiełtnam konika i puszcę na paszę. MICK. *Wiersze 118.* Spuszczając się w niziny, dobiegłem ponika, który hojnie z otworów kamiennych wynika. TREMB. *Sof. 17.*
2. daw. «kłopot, ambaras»: Umyślnie się w te wdał, napędził poniki. TROC *cyt. SW. // L*

Oczywiście Staszic miał tu na myśli pierwsze znaczenie tego terminu; uroku słownikowemu hasłu dodają cytaty z Żeromskiego, Mickiewicza i Trembeckiego. Dziś słowo to nie jest zbyt często używane, przetrwało jedynie w licznych nazwach miejscowości w różnych regionach Polski.

Tylko specjaliści z takich dziedzin jak geologia czy geografia wiedzą jednak, że Staszic, słynny myśliciel, działacz oświeceniowy, pisarz, tłumacz, przyrodnik i wszechstronny badacz, nazywany „ojcem polskiej geologii”, stworzył podstawy polskiej terminologii geologicznej: „Należy [...] zaznaczyć, że Staszic po raz pierwszy, w polskiej terminologii geologiczno-górnicznej, spopularyzował określenia opisujące zaleganie pokładów surowców i utworów skalnych”, piszą w pracy o złożach węgla blanowickiego Andrzej J. Wójcik i Wojciech Preidl. Jak zauważają Maria Czeppe i Zbigniew J. Wójcik w *Internetowym polskim słowniku biograficznym*, jego „rozprawa *O ziemiorództwie Karpatów...* została wydana razem z mapą *Carta geologica...* oraz ze słownikiem terminów geologicznych, z których część weszła na trwałe do polskiego słownictwa naukowego”³. Do słów tych należą: złożo, błyszcz, druzgot i szarogłaz.

O ile „złożo” jest słowem tak powszechnym, że nawet się nie zastanawiamy nad jego pochodzeniem, ponadto używamy go

metaforycznie (mówiąc o, jak podaje *Słownik języka polskiego*, „nagromadzeniu ukrytych uczuć, emocji, cech, stanów występujących gdzieś lub u kogoś”, co przypomina inną przenośnię: „całe pokłady empatii, uczuć” itp.), to terminy „szarogłaz”, „druzgot” czy „błyszcz” raczej nie są eksploatowane literacko czy poetycko. Przypomnę za SJP, że błyszcz to: 1. minerał odznaczający się połyskiem metalicznym, 2. roztwór stosowany w garbarstwie do apreturowania skór (interesuje nas tutaj znaczenie pierwsze), zaś brekcja, inaczej druzgot, to skała zlepiona z okruchów minerałów i skał, mających ostre krawędzie.

Pozwolę tu sobie przytoczyć nieoceniony słownik Doroszewskiego, którego czcionka i układ graficzny dodają smaku „retro” tym wywodom⁴:

druzgot m IV, Ms. ~ocie petr. in. brekcja
«skała osadowa zlepiona z jednorodnych lub
różnorodnych ostrokrawędzistych odłamków
skał, spojonych wskutek działania procesów
hydrochemicznych»: Te kominy wybuchowe,
wyrzuczone przez gazy w powierzchniowych
warstwach skorupy ziemskiej, są wypełnione
kimberlitem, zmiennego wyglądu druzgotem
wulkanicznym. LEWIŃ. J. *Afr. 111. // SWił*

Szarogłaz został objaśniony jak następuje⁵:

szarogłaz m IV, D. -u, Ms. ~azie miner.
«osadowa skała klastyczna, o barwie szarej lub
zielonkawej, zbliżona do piaskowców, zawiera-
jąca ziarna kwarcu, skaleni, łuszczyków oraz
okruchy różnych skał» // SW

Nigdy nie przypuszczałam, że wybitny uczonec i filozof Staszic stanie się dla mnie natchnieniem lirycznym i – kto wie – skłoni do zajęcia się tymi pięknymi słowami w szerszym kontekście artystycznym! Być może ujrzę jakiś „druzgot zimy”?... Czy też przytłoczy mnie „szarogłaz poranka”?...



Już w starożytności Cyceron zauważył podobno, że człowiekowi do szczęścia wystarczą ogrody i biblioteki. W poprzednim felietonie, również poświęconym kolonii domów profesorskich w Krakowie, wspominałam o wybitnych uczonych, profesorach, humanistach, którzy mieszkali w tej niezwyklej okolicy w urokliwych willach skupionych przy dzisiejszej ulicy Wyspiańskiego, a potem także przy placu Axentowicza i częściowo ulicy Sienkiewicza. Z pewnością nie brakowało im ani bibliotek, ani ogrodów, jako że domy toną tu w zieleni. Obiecałam powrócić do tematu willi przy ulicy Wyspiańskiego 14, oplecionej dzikim winem i, naturalnie, otoczonej ogrodem. Jest ona szczególnie ważna dla historii Akademii Górniczo-Hutniczej, gdyż jej właściciel, profesor Antoni Schimitzek, był jednym z założycieli uczelni, jej profesorem oraz dyrektorem kopalni w Sierszy (w latach 1906–1919) – w tym ostatnim mieście mieszkał w zabytkowej willi NOT. Profesor położył rozliczne zasługi dla nauki, przemysłu i społeczeństwa – nie tylko brał udział w elektryfikacji kraju, założył fabrykę dachówek azbestowych „Górkit”, był twórcą cementowni „Górka” i prowadził uwieńczone sukcesem poszukiwania rud cynku i ołowiu w Trzebionce, ale też wynalazł między innymi aparat bezpieczeństwa (w roku 1900), wyłączający samoczynnie dopływ pary do maszyny wyciągowej po przekroczeniu przez nią szybkości lub po przejechaniu platformy wyładunkowej. Prowadził akcję dożywiania dzieci we wsiach górniczych, a ponadto przyczynił się do budowy osiedli robotniczych i założył bibliotekę. W 1914 roku kierował oddziałem Naczelnego Komitetu Narodowego, który rekrutował ochotników do Legionów

zakamarkami – kolonia domów profesorskich pozwala żywić nadzieję, że w naszym mieście wciąż można odnaleźć oazy ciszy, odczuć w nich wonie i smaki dawnych epok. Choćby przez chwilę. I zaobserwować taki nietrwały „pałac”:

Jerzy Harasymowicz, *Pałac*

Sześć pięter motyli
chwieje się
nad trawnikiem

PRZYPISY

- ¹ Z. Wójcik, *Z dziejów starań o powołanie Akademii Górniczej w Krakowie*, „Prace Komisji Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności” 6, 2004, s. 52.
- ² Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 54.
- ³ Z. Wójcik, *op. cit.*, s. 51.
- ⁴ *Ibidem*.
- ⁵ *Komora im. Sienkiewicza*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 10 stycznia 1917, dostępny na: www.mbc.malopolska.pl/dlibra/publication?id=80942&tab=3
- ⁶ *Kraków się rozlewa, bo życie w nim staje się trudne*, wywiad M. Waluś, A. Gurgula z prof. Barbarą Bartkovicz, „Gazeta Wyborcza”, 22 września 2016, dostępny na: <http://krakow.wyborcza.pl/krakow/1,42699,20733561,krakow-sie-rozlewa-bo-zycie-w-nim-staje-sie-trudne.html?disableRedirects=true>



FOT. 1.
Willa profesora
Schmitzka
przy ulicy
Wyspiańskiego 14



FOT. 2.
Rusalka pawik
we wrześnieowym
świele

Patrzę na pierwszy projekt gmachu A-0 naszej uczelni oraz na odnalezioną w Narodowym Archiwum Cyfrowym fotografię z 1932 roku znanego rzeźbiarza Karola Hukana, ucznia samego Konstantego Laszczki, opatrzoną opisem: „Artysta rzeźbiarz Karol Hukan obok wykonanej przez siebie rzeźby geniusza, mającej zdobić gmach Akademii Górniczej w Krakowie”. Jak wyglądałby budynek AGH przy alei Mickiewicza, gdyby zrealizowano ten projekt? Skrzydlaty geniusz w antycznej, przepasanej szacie do kolan unosi prawą rękę, a opuszcza lewą, rozpiera go duma i energia; gdyby mógł, zapewne poszybowałby w górę. Starożytni Rzymianie wierzyli, że *genius* (słowo pochodzące od *gignere*, „rodzić”) to duch opiekuńczy mężczyzny, żyjąca w nim półboska istota, która pojawia się w momencie narodzin chłopca, steruje jego losem, płodnością i osiągnięciami, po czym wraz z nim umiera (istniała też inna wersja tych wierzeń, wedle której geniusz po śmierci człowieka staje się jego niezniszczalnym duchem). Gdy rodziła się dziewczynka, żeńskim odpowiednikiem geniusza była dla niej Junona. Niewykluczone, że z tych antycznych wierzeń wywodzi się chrześcijańskie pojęcie Anioła Stróża. Jak wiadomo, w przypadku aniołów kategoria płci nie ma znaczenia; jeśli chodzi o bóstwa starożytnego Rzymu, przez długi okres nie wiadomo, czy są męskie, czy żeńskie i na wszelki wypadek, aby ich nie urazić, czciciele zwracali się do nich: „O ty, bogiem jesteś czy boginią, mężczyzną czy kobietą”¹.

W miarę rozwoju społecznego Rzymian liczba geniuszy rosła: byty te mogły się również opiekować narodami, ludami czy miejscami, stąd do czasów współczesnych przetrwało wyrażenie *genius loci* – „duch miejsca”. Na rzymskim Kapitolu umieszczono nawet napis: „Geniuszowi miasta Rzymu, mężczyzną jest czy kobietą”. W niezrealizowanym projekcie gmachu A-0 chodziło zapewne o opiekuńczą istotę sprawującą pieczę nad uczelnią techniczną i młodymi adeptami inżynierii. Jak pisze dr inż. Jerzy Kajtoch:

Pierwotnie główny budynek Akademii Górniczej miał być – według projektu z 1913 roku, zwieńczony rzeźbą, uosabiającą „geniusz pracy (nauki)” w postaci młodej dziewczyny, obdarzonej

skrzydłami wzniesionymi do lotu, zaprojektowaną przez rzeźbiarza Karola Hukana. Jednakże wskutek starań: prof. Władysława Taiklińskiego – rektora AG (1933–1939), oraz inż. Aleksandra Ciszewskiego – prezesa Unii Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego (1923–1939), doprowadzono do zmiany tej koncepcji².

Dodam tutaj, że osobiście nie jestem do końca przekonana, czy projekt Hukana przedstawiał dziewczynę, czy młodzieńca, skoro wiemy, że nie znano płci geniuszów, a zachowana przedwojenna fotografia, o której już wspomniałam, nie daje tu jednoznacznej odpowiedzi. Podobnie możemy jedynie domniemywać, dlaczego rzeźba geniusza budziła aż tak silne kontrowersje. Czy wydawała się zbyt ekstrawagancka, „artystowska” jak na opiekuna inżynierii? Nieco „niepoważna” dla tak konkretnych i solidnych dziedzin jak górnictwo i hutnictwo? Czy też może była odbierana jako zbyt „pogańska”? Z pewnością nie bez znaczenia była tu opinia Unii Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego, która ofiarowała na wykończenie gmachu ogromną jak na owe czasy sumę trzystu tysięcy złotych; organizacja ta wolała zapewne bardziej „tradycyjną” patronkę górnictwa. Geniusza zastąpiła święta Barbara, której posąg dłuta Stefana Zbigniewicza stanął na zwieńczeniu dachu już 24 sierpnia 1939 roku, tydzień przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Niestety, burzliwy wiek XX sprawił, że figura nie znajdowała się tam zbyt długo, ponieważ po kilku miesiącach hitlerowski okupant strącił ją z budynku; podobny los spotkał też inne ważne dla poczucia polskości pomniki, między innymi pomnik Grunwaldzki, zniszczony już w listopadzie 1939 roku, oraz monument Adama Mickiewicza, zrzucony z cokołu w sierpniu 1940 roku. Przejmujący opis zrzucenia posągu świętej Barbary przez żołnierzy niemieckich w styczniu 1940 roku pochodzi z artykułu Zbigniewa Sulimy *O świętej Barbarze z A-0, wspomnienie*, w którym autor cytuje relację dr Aleksandry Mianowskiej, opublikowaną w „Przeglądzie Lekarskim”, t. 46, nr 1, styczeń 1989. Pracowała ona jako pielęgniarka w szpitalu wojskowym, zorganizowanym w pierwszym okresie wojny w gmachu dzisiejszego Teatru Groteska – wówczas w bursie



W okresie międzywojennym wzniesiono w Krakowie (szczególnie w okolicach Alei Trzech Wieszców) dziesiątki modernistycznych kamienic; w nawiązaniu do dawnych wieków otrzymywały one interesujące godła wykonane w kamieniu, majolice, tynku czy nawet mozaice. Nie jest powszechnie wiadomo, że nie były one wyłącznie kaprysem architektów, ponieważ nadawanie kamienicom godeł nakazywały specjalne przepisy ówczesnych władz miasta. Jakiś czas temu idąc ulicą Pomorską, zauważyłam na nadprożu domu pod numerem 6 niezwyklej urody trójmasztowiec o wzdętych żaglach, mknący po płasko wyrzeźbionych rzędach fal. Wytężając wzrok, dostrzegłam napis „Dar Pomorza”. Dodatkowo nad oknami wyrzeźbiono stylizowane ornamenty drobnych falek. Takie ozdoby kamienicy doskonale korespondują z nazwą ulicy, wytyczonej w 1925 roku i pierwotnie złożonej z dwóch części: Pomorskiej i południowej, Ruskiej, dochodzącej do parku Krakowskiego. Jak uważa badaczka Elżbieta Supranowicz, te konwencjonalne nazwy pochodziły po prostu od krain geograficznych: Pomorza i Rusi. Po wojnie w 1946 roku obie części przemianowano na ulicę Wybickiego, ale w roku 1981 przywrócono nazwę ulicy Pomorskiej, ponieważ miejsce to zostało naznaczone męczeństwem Polaków podczas okupacji – pod numerem 2 mieściła się bowiem siedziba i więzienie Gestapo (dziś oddział Muzeum Historycznego). Płynąca na fasadzie kamienicy pod numerem 6 fregata nie zmierzła wówczas do żadnej bezpiecznej przystani, trudno też sobie wyobrazić, żeby gnani do katowni nieszczęśni o pochylonych głowach w ogóle zwracali uwagę na nadproża. Może jednak niektórzy podnieśli na moment oczy i na widok trójmasztowca pomyśleli